



Kierownik:
X. JÓZEF KŁOS
w Poznaniu.

Pismo dla Rodzin, Bractw i Stowarzyszeń katolickich.

Redaktor odpowiedzialny:
ANTONI STEFAŃSKI
w Poznaniu.

Przedpłata kwartalna na pocztę i w agencjach 70 fen., z odnośzeniem do domu 85 fen., ze **»Słowem Bożem«** 15 fen. więcej. **»Przewodnik Katolicki«** jest zapisany jako **»Przewodnik Kat.«** Ausgabe A. ze **»Słowem Bożem«** jako **»Przewodnik Kat.«** Ausgabe B. — **Cena ogłoszeń** 30 fen. od drobnego wiersza. **Telefon Biura ogłoszeń i Administracji** 3613. **Telefon Redakcji** 2919. **Adres:** Poznań, św. Marcin 69.

Ojciec św. Pius X. udzielił dnia 22 kwietnia 1904 roku błogosławieństwa apostolskiego ś. p. X. Arcybiskupowi Stablewskiemu jako założycielowi **»Przewodnika«**, głównemu redaktorowi, współpracownikom i wszystkim czytelnikom **»Przewodnika Katolickiego«**.

Nr. 13.

Poznań, dnia 29 marca 1914 roku.

Rok XX.

WSPOMNIENIE OGRÓJCA.

Wszchemocny Boże! Na ziemi
[i w niebie
Tyś władzcą!... Panem wszel-
[kiego stworzenia!
Łzy nasze... prośby... my śle-
[my do Ciebie,
A dobroć Twoja w radość je za-
[mienia!...
Lecz dziś... na ustach zamierają
[słowa!
Tylko żal ciężki w głębi serc się
[chowa!...

Oto samotny klęczy... opusz-
[czony...
Wylękły... smutny... Bóg! Syn
[Twój jedyny!
Przed nim goryczą kielich napę-
[lniony...
Ciężko mu w twórcze wloką się
[godziny.
W okół cisza pępna i głu-
[cha...
Modlitwy Syna czyż Ojciec wy-
[słucha?

Nieśmiała prośba z ust jego ulata:
»Jeżeli można... weź to straszne
[brzemie!
Zawisł nademną ciężar grzechów
[świata!
A jednak pragnę zbawić ludzkie
[plemię.
Więc choć tak sroga czeka mnie
[niedola,
Ojcie! Niech Twoja stanie się
[dziś wola!«



Myśl o tem dzisiaj jeszcze serce
[krwawi!
Nam grzesznym oko łzą żala na-
[plywa.
Rzekłeś, że ogrom miłości świat
[zbawi -
Miłość bezbrzeżna, bezmierna a
[tłkliwa,
Potęgą takiej miłości natchniony,
Na krzyżu umarł Twój Syn umę-
[czony.

Wszak więcej szczęścia, niż ten
[świat pomieści,
Mogłeś wlać, Panie, w jego Serce
[biedne!...
Świat mu najdroższych nie szczę-
[dził boleści!
Wytchnienia nie dał ni na chwilę
[jedną.
Gdy konał z bólu... bez grzechu
[i winy...
Patrzył na smutek swej Matki
[jedynej!

Czem wobec tego dziś modlitwy
[słowa?...
Czem prośby nasze o marne
[istnienie?...
Czyż taką boleść odda ludzka
[mowa?
Dzisiaj — przyjm z serca to krwa-
[we wspomnienie!
A odtąd wszelkie znikome uciechy
Niech nam zastąpi łza żala za
[grzechy.

M. Salima B.

Pan Jezus w Ogróju.

Obrazki z dziejów Kościoła.

Wielka rewolucja francuska.

(Ciąg dalszy.)

IV. Konwencya narodowa.

1. Rozwiązanie Zgromadzenia prawodawczego. Po-
stanowienia Konwencji. Żyromyści. Górale. San-
kiuloci. Krzyki o Kościół. Zdziczenie i zaślepienie
umysłów. Danton, Marat, Robespierre. »Przyjaciel
Ludu«. Wyrok na emigrantów. Pomoc narodom
powstającym przeciwko swym królom.

— Wywróciliśmy monarchię konstytucyjną
i uwięziliśmy króla, w tym celu przysłano nas tu
z departamentów!

Tak mówili niezadowoleni członkowie Zgroma-
dzenia prawodawczego, rozwiązując się dnia 21 wrze-
śnia 1792 r.

— Jak to? A gdzie nowa konstytucja repu-
blikańska, jakiej słuszenie oczekuje Francya? Kon-
stytucja taka, żeby na gruzach średniowiecznej
monarchii wzniesiona została budowa zupełnie no-
wego państwa?! — pytali bardzo liczni zwolennicy
takiej nowej konstytucji.

— Zaraz, zaraz, nowe wybory ogłoszone! Jako
zgodne Zgromadzenie Narodowe (la Convention¹⁾
Nationale) uchwalimy i urządzimy wszystko, co dla
ojczyzny potrzeba!

Tak znów zgodnie i jednomyślnie zamierzali
działać sami republikanie, którzy w liczbie 750 zgroma-
dzili się już w tym samym dniu (21 września
1792 r.) I zaraz na pierwszym posiedzeniu rozległ
się ogromny zbiorowy głos z kilku set piersi, głos,
który już był jednomyślną uchwałą:

— Na zawsze, na zawsze znosimy w naszej
Francji godność królewską; zawsze, zawsze będzie
odtąd nasza Francya rzecząpospolitą!

To zebranie narodowe zwane *Konwencyą Na-
rodową*, podobnie jak Zgromadzenie poprzednie,
rozdzieliło się na dwa stronnictwa, na prawicę i na
lewicę, czyli na *republikan umiarkowanych* i na
republikan zagorzałych. Ci z prawej strony, to
byli *Żyromyści*, ci z lewej zwali się *Górami* (la Mon-
tagne), bo siedzieli na górze, w najwyższych ław-
kach sali. A byli ci Górale z lewicy najzacieźszymi
republikanami, były to głowy jakby szalone, więc
też zwano ich powszechnie *Wściekłymi* (les enragés)
albo *Sankiulotami*²⁾.

— Chcemy rzecząpospolitą, ale nie tyranii! —
mówili poważnie Żyromyści. — Na zwaliskach mo-
narchicznego rządu musimy utworzyć nowy porzą-
dek republikański!

Ich zaś przeciwnicy, zaciekli Górale na lewicy,
rzucając się i pniąc wykrzykiwali:

— Znieść, wytepić wszelkie ślady i pamiątki
dawnego rządu! Znieść, wytepić religię chrześciań-
ską, bo to najsilniejsza podpora tej tyrańskiej wła-
dzy królewskiej!

— O tak, słusznie! — dodawali inni. — W Ko-
ściele, w jego zarządzie, taki sam tyrański rząd
monarchiczny!

— Tak, tak! — grzytali najbezboźniejsi, —
w Kościele i w monarchii nie ma ani politycznej,

ani religijnej wolności, ale jest ujarzmienie ludz-
kiego ducha!

Tak krzyczeli ci zaślepieni i upośledzeni, do
których umysłów niskich i serc zdziczałych nie miały
już dostępu, żaden promyk Bożego światła, żadna
czystsza myśl wyższa, zastanowienie, objaw wiary
w siłę Boskich wyroków, praw i przeznaczeń, w tę
wyższą opiekę Bożą, w tę odwieczną niezłomność
Bożego układu światowego. Tym zezwierzęconym,
wyuzdanym istotom, targanym szatańską żądzą cią-
głego użycia, nadużycia i bezprawia, przeszkadzały
te odwieczne prawa Boże, bo one właśnie hamo-
wały tę zupełną ich swobodę, raczej samowolę
w występkach i zbrodni.

Na czele tych Górali stali najzacieźsi, z wszel-
kich uczuć ludzkich wyrzuci okrutni tyrani: wspom-
niani już Danton, Marat i Robespierre.

Jan Paweł Marat, lekarz, okrutny rewolucyo-
nista i morderca założył dziennik p. t. »Przyjaciel
Ludu«, w którym pisał i nawoływał ciągle: »Bracia,
mordujcie, wieszajcie bez litości wszystkich tych, co
są przeciwni wolności ojczyzny!« Znaczyło to, że
chciał wymordować wszystkich, którzy byli prze-
ciwni rządowi jego trójki, t. j. Marata, Robespier-
ra i Dantona.

Robespierre Franciszek Józef, z rodziny szla-
checkiej, adwokat z Arras, szalonych zdolności, był
strasznym, płomiennym mówcą ludowym i dzienni-
karczem; w stronnictwie Jakobinów miał wpływ nie-
ograniczony.

Te dwa stronnictwa: umiarkowanych i zago-
rzałych, od początku zebrania się Konwencji aż do
2 czerwca 1793 r. prowadziły ze sobą ciągłą walkę.
Zwycięstwo odnieśli zagorzali i wtedy nastał dla
Francji czas okropnego panowania Robespier-
ra, która to epoka znana w dziejach pod nazwiskiem:
panowanie terrorizmu.

Dopiero ze śmiercią tego człowieka dnia 27 lipca
r. 1794 skończył się ten straszny czas i odtąd rządy
Konwencji stają się łagodniejsze.

2. Króla Ludwika XVI przeszłość. Skromne oby-
czaje. Życzliwość dla klas robotniczych. Jak kochał
swych poddanych? Wrażliwość na cierpienia ludz-
kie. Pomoc biednym. Na co są królowie na ziemi?
Kasy dla ludu. Uwalnianie niewinnych więźniów.
Port w Cherbourgu. 37 milionów liwrów. Naj-
szczęśliwszy król na ziemi. Testament. Chrześciań-
skie przebaczenie. Jaki syn jego być powinien.
Rozsądna wolność i dobre prawa. Dziedzictwo
krwią ojca złane.

W więzieniu siedzi nieszczęśliwy król Lu-
dwik XVI, wnuk Ludwika XV. On, ur. w r. 1754,
wychowany w atmosferze najbardziej zepsutego
dworu, zachował jednak prostotę i czystość oby-
czajów, okazywał poczucie prawa i obowiązku, nie-
nawidził zbytku i skłaniał się ku warstwom robotni-
czym. Od młodości już szczególną okazywał uczu-
ciowość. Nie był w stanie patrzeć na ubogich
cierpiących. Gdy tylko usłyszał, że ktoś cierpi,
płakał gorzko i spieszył zaraz z pomocą i ratun-
kiem. Jakże serdecznie płakał po śmierci ojca
swego, a potem po śmierci Ludwika XV.

— O Boże, — jęczał, — więc i ja będę mieć to
nieszczęście, że królem być muszę!

— O, królowie są tylko po to na ziemi, aby
przez swe panowanie uszczęśliwić swe ludy i aby
przykładem swym cnotliwymi je czynić!

Koronę przyjmował z wielką bojaźnią (1774 r.).
Jako król urządził Ludwik kasy pożyczkowe
banki i dla ludu, zniósł pańszczyznę, także tortury

¹⁾ »Convenir« po franc.: zgodzić się; »convention«: układ, umowa.

²⁾ »Sankiuloci« dziś nazywa się we Francji »pospólstwo«.

W czasie rewolucji francuskiej była to pogardliwa nazwa, jaką nada-
wało stronnictwo arystokratyczne najbardziej krwawym rewolucjonistom,
którzy ubierali się w bardzo krótkie spodnie (sans culotte, dosłownie:
bez spodni.) Przez pewien czas należało do dobrego tonu nazywać się
»sankiulotem«.

i poddaństwo w prowincyi Jura. Na jego rozkaz rozpatrzone jeszcze raz wyroki sądowe i uwolniono obywateli niesłusznie uwięzionych.

Leż szczerých objawów przywiązania i miłości otrzymał od swych poddanych, gdy podróżował do Cherbourg¹⁾ (r. 1786), aby podjąć budowę sławnego portu, na co przeznaczył 37 milionów liwrów²⁾, aby biedni ludzie zarobek mieć mogli. Uszczęśliwiony pisał wtedy do królowej Maryi Antoniny (poślub. r. 1770): »Droga moja! Do najwyższego stopnia wzruszony jestem objawami miłości i przywiązania ludu mojego! Pomyśl droga moja, czy nie jestem najszczęśliwszym z królów na ziemi?!«

A w sześć lat później dnia 25 grudnia r. 1792 przed skazaniem go na śmierć przez tychże własnych jego poddanych, tak pisał w swym testamencie:

— Przebaczam z całego serca tym, którzy okazali się moimi nieprzyjaciółmi, chociaż ja żadnej do tego przyczyny nie dałem, i proszę Boga, aby im przebaczył. Upominam syna mojego, gdy będzie miał nieszczęście zostać królem, aby zawsze pamiętał o tem, że zapomnieć ma wszelką nienawiść i urazę za moje nieszczęście i za moje cierpienie. Zalecam mu zawsze pamiętać, że się powinien poświęcić całkiem szczęściu i dobrobytowi swych współobywateli; że tylko wtedy zgotuje szczęście swym ludom, jeśli zawsze będzie rządził według praw, że jednak król wtedy tylko szacunek dla praw okazuje i swój cel osiąga, jeśli sam ma dostateczną powagę!

Podobne polecenie daje król Ludwikowi XVIII:

— Posłuszny koniecznym wyrokom Opatrzności, oddaję mą niewinną głowę pod topór katal! Wskutek śmierci mojej, syn mój ma włożyć na głowę koronę królewską. Ty bądź ojcem dla małoletniego, ty rządz Francją i oddaj mu potem to państwo w stanie spokoju i rozkwitu. Pamiętaj, że nie przemocą i siłą broni, ale przez zapewnienie rozsądnej wolności i dobrych praw przywrócisz synowi memu dziedzictwo przez rewolucjonistów wydarte. Nie zapomnij nigdy, że to dziedzictwo złane jest krwią moją i że krew ta woła do ciebie o łaskę i przebaczenie! Prosi cię o to brat twój, a nakazuje ci to twój król!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Sarai.

Sarai z Kafarnaum była córką Jonasza, właściciela łodzi, a siostrą Szymona i Andrzeja.

Jonasz żył w przyjaźni z sąsiadem swoim, rybakiem Zebedeuszem, mężem Salomy, a ojcem Jakóba i Jana.

Sarai była dziewczyną piękną i wrażliwą. Za lat dziecinnych bawiła się często nad brzegiem jeziora z Janem, który był z natury cichy i oblicze miał łagodne. Podrósłszy, przychodziła codziennie do pocziwej Salomy i razem z nią zajmowała się naprawianiem sieci albo szat swoich braci.

Gdy doszła do lat siedmnnstu, poznała, iż kocha Jana, syna Zebedeusza i Salomy; a że obchodził się z nią przyjaźnie, sądziła, że kocha ją także i że wkrótce zapragnie jej w małżeństwie.

Wówczas to zaczęmano mówić w krainie o młodym proroku, który chodził po Galilei, oznajmiając Królestwo Boże.

¹⁾ Cherbourg (czytaj: Szerbur), najsilniejszy z pięciu port i twierdza wojenna w departamencie Manche, nad kanałem tej nazwy, ukończona przez Napoleona I w r. 1812.

²⁾ Liwr francuska moneta srebrna do r. 1795, zawierała 20 sous (razem około 60 groszy polskich).

»Tedy — w... Ewangelii — gdy Jezus siedł wzdłuż morza Galilejskiego, spostrzegł dwóch braci Szymona i Andrzeja, zarzucających sieci w wodę. I rzekł do nich: »Pójdźcie za mną, a uczynię was poławiaczami ludzi. I porzucili natychmiast swe sieci i poszli za nim. Idąc dalej, zobaczył drugich dwóch braci, Jakóba i Jana, którzy siedzieli w łodzi z ojcem swym Zebedeuszem i naprawiali sieci. Przywołał ich i natychmiast opuścili łódź i ojca i poszli za nim.«

Wróciwszy do domu wieczorem, opowiedział Zebedeusz żonie, co się zdarzyło. Dodał nadto, że gdy Jezus mówił, nikt nie mógł mu się oprzeć. Sarai była przytem; nie śmiała nic powiedzieć, bo Jan nie był z nią wcale zmówiony; ale gdy została sama, płakała gorzko.

W dwa tygodnie potem Jan i jego towarzysze wrócili do domu. Przyprowadzili z sobą także Jezusa.

Jezus mówił, a Zebedeusz i Salome uwierzyli w niego. I wszystkich ogarnęła niewypowiedziana błogość. Jenó Sarai nie była wcale wzruszona, pamiętając, że ten prorok zabrał jej tego, którego kochała.

Jan był dobrym dla niej, jak dawniej, ale nie zauważył ani jej bladeści, ani smutku w jej oczach.

Na cześć Jezusa była u Zebedeusza wieczerza, na którą zaproszono sąsiadów.

Sarai pomagała Salomie w usługiwaniu biesiadującym. Widziała, że Jan był szczególniejszym przyjacielem proroka i rozumiała, że niechybnie nigdy do niej należeć nie będzie. Drżała też tak silnie, że wypuściła misę, która rozbila się w drobne kawałki. Jezus wstawił się za nią, by jej nie czyniono wyrzutów. Ale ona nie śmiała mu nawet podziękować.

Tego samego dnia Jezus wyszukał ją w ustronnej izbie, gdzie myła naczynia. I rzekł do niej:

— Córkó moja, czemu zasmuconą jesteś w sercu?

Ale ona uciekła, nie spojrzawszy nie niego i nie odpowiedziawszy ni słowa.

Jan pozostał przez kilka tygodni w Kafarnaum i trudnił się przez ten czas rybactwem, by zebrać trochę pieniędzy na nową podróż.

Sarai przychodziła szyc codziennie do Salomy. Była tak smutna, że stara spostrzegła to nareszcie i rzekła do niej:

— Jak możesz się tak smucić, gdy znasz dobrą nowinę i wierzysz w przyjście królestwa Bożego?

A dziewczyna myślała:

— Moje królestwo Boże było wtedy, gdy Jan mnie kochał; a moją dobrą nowiną byłoby czule słowo z jego ust.

W dniu, w którym Jan wyruszał, by znów się połączyć z Jezusem, nie mogła już dłużej ukryć swego nieszczęścia. Pobiegła za Janem i dopadła go w porcie.

— Janie! — zawołała, — błagam cię, nie odchodź!

I uczepiła się jego szaty; ale on czerwony z gniewu i ze wstydu odepchnął ją od siebie. Przechodnie zaczęli z niej szydzić; dzieci biegły za nią, wykrzykując drwiąco; i wróciła do ojca, łkając rozpaczliwie.

Odtd nie śmiała już pójść do sąsiadki Salomy. Siedziała w domu przy ojcu złożonym niemocą. Bracia, gdy byli w domu, patrzyli na nią z niechętnem politowaniem i niekiedy mówili sobie:

— Musiał ją opętać jakiś zły duch.

(Dokończenie nastąpi.)

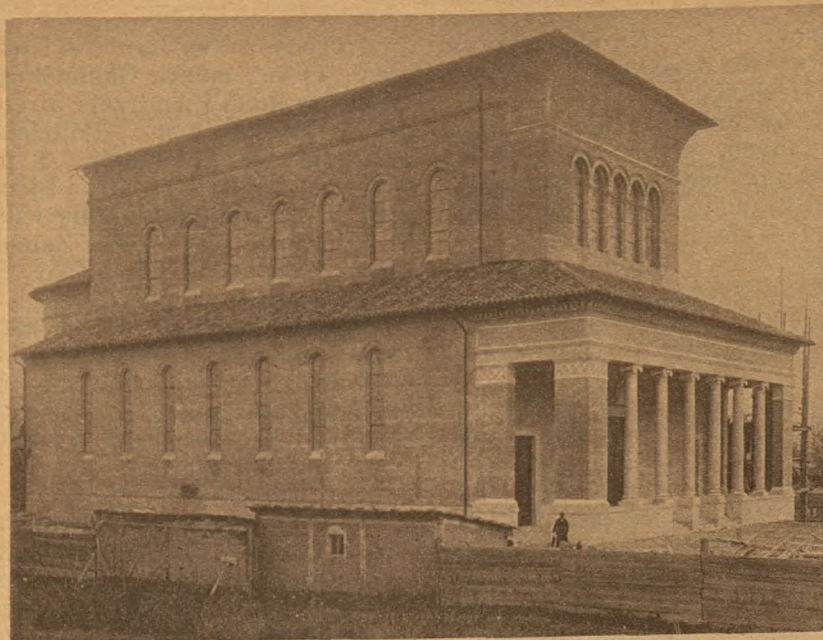
Listy z Rzymu.

Uświetnienie pamiątki
roku jubileuszowego.

Rzym,

w marcu, 1914.

Jak zwykle o tej porze, tak i w tym roku Rzym, stolica chrześcijaństwa, zaczyna się roić od pielgrzymów, przybywających ze wszystkich stron świata. Zbliża się przecież wielki tydzień ze swojemi uroczystymi obrzędami. Poważne śpiewy, zwłaszcza na ciemnych jutrzniach, w środę, czwartek i piątek wielkiego tygodnia, wykonywane przez najwprawniejsze chóry rzymskich kościołów, wywołują zachwyt i podziwienie. Słuchają ich i przyglądają się głębokim ceremoniom nie tylko katolicy, ale i innowiercy, protestanci, żydzi, prawosławni, wśród wszystkich zaś przeważają Amerykanie. Nie zawsze umieją się ci przybysze zachować jakby przystało na miejscach świętych; po kościołach ruch, gwar, hałas, rozmowy, śmiechy, przeszkadzające nabożeństwu w najświętszych nieraz chwilach. Ale Rzymianin przyzwyczał się do tego



Widok zewnętrzny nowej bazyliki jubileuszowej św. Krzyża w Rzymie.

przy tej sposobności ucałować nogi i ręce Namiestnikowi Chrystusowemu. Złożywszy wizytę Kardynałowi Ferrata, który jest protektorem Białych Ojców, uzyskali następnie audyencję u Ojca św., która trwała długo i bardzo była serdeczną.

Wszyscy pątnicy, przybywający do Rzymu, spieszą obejrzeć nową, wspaniałą świątynię, zbudowaną co dopiero w stolicy chrześcijaństwa. Mówi się, że Rzym ma dosyć kościołów. Pewnie, że Rzym dawny na brak kościołów skarżyć się nie może. Jednakże

i już go to wcale nie razi.

Pomiędzy gośćmi w Rzymie zwracają uwagę wysocy do stojnicy z krajów misyjnych, a mianowicie regent kraju Uganda, dzisiaj już katolik, syn jego, gubernator z Budhut, oraz jeden z krewnych króla Ugandy. Przewodniczy im X. Biskup Streicher, wikaryusz apostolski z Ugandy, należący do Zgromadzenia Białych Ojców, prowadzących misję w Ugandzie. Powracają oni wszyscy z pielgrzymki do Ziemi świętej, a spieszyli do Rzymu, aby



Poświęcenie bazyliki św. Krzyża przy moście Milwjskim w Rzymie.

nowe a ludne przedmieścia Rzymu pozabawione są prawie zupełnie kościołów, i tam budować kościoły znaczy to samo, co ratować tysiące dusz.

Nowy kościół, zbudowany w dzielnicy ubogiej w domy Boże, to bazylika jubileuszowa, wzniesiona na pamiątkę 1600-ej rocznicy zwycięstwa krzyża nad pogaństwem. Wzniesiono ją przy moście Milwiskim, tam, gdzie się odbyła pamiętna bitwa między Konstantynem a Maksencjuszem, uwieńczona niepospolitą zwycięstwem Konstantyna.

Kilka już tygodni minęło, jak nastąpiło poświęcenie nowej bazyliki. «Przewodnik» wspominał o tej uroczystości. Ale czytelnicy zapewne chętnie sercem przyjmą kilka szczegółowych wiadomości o tym uroczystym akcie, zwłaszcza, że możemy służyć rycinami, które głębiej zapisują w pamięci owe świetne chwile.

Ceremonia rozpoczęła się od procesji, w której między innymi wzięli udział wychowankowie wszystkich rzymskich seminariów duchownych. Mszę pontyfikalną odprawił kardynał Cassetta, który stał na czele komitetu jubileuszowego, zajmującego się budową jubileuszowej bazyliki.

Bazylika, zbudowana w ciągu dziesięciu miesięcy i przypominająca strukturą kościół świętego Wawrzyńca, składa się z trzech naw, z których każda zakończona jest ołtarzem.

Ołtarz główny, poświęcony Krzyżowi świętemu, wzniesiony został za pieniądze, zebrane przez redakcję pisma «Sacred Heart review» w Bostonie. Jest on wykonany w stylu bizantyjskim z kararyjskiego marmuru, tabernakulum posiada niezrównanej piękności, wykonane z mozaiki. Na ołtarzu wznosi się krzyż brązowy wysokości trzech metrów, który złożyli alumni seminarium amerykańskiego. Ponad ołtarzem wznosi się bogaty baldachim, wspierający się na czterech kolumnach z czernionego granitu.

Ołtarz po prawej stronie, również wykonany z kararyjskiego marmuru i mieszczący obraz św. Jerzego, wykonany został kosztem Zgromadzenia Kawalerów maltańskich.

Ołtarz lewy na koniec poświęcony św. Helenie, powstał dzięki ofiarności związku włoskich kobiet katolickich. Przewodnicząca związku, księżna Giustiniani Baldini, złożyła potrzebną sumę Ojcu świętemu na posłuchaniu, które wraz



X. Kardynał Cassetta, prezydent komitetu jubileuszowego.

z radą związku otrzymała w ostatnim dniu roku. O ile pamiętam, to i kobiety polskie, do których swego czasu wydał katolicki związek kobiet odpowiednią odezwę, uczestniczyły w swych składkach na ołtarz św. Heleny, wielkiej matki wielkiego Konstantyna.

Wszystko, co się w Rzymie buduje, jest wielkie, niepospolite, monumentalne. Tak też i nowa bazylika jubileuszowa, jakkolwiek nie może się co do przepychu i bogactwa mierzyć ani z bazyliką św. Piotra ani z błyszczącą świątynią świętego Pawła za murami, jest w całości swojej jednak piękna i chlubnie świadczyć będzie w dalekie wieki o ofiarności katolików całego świata, którzy się na jej budowę składali. Trzeba też zważyć, że podczas gdy inne sławne świątynie rzymskie budowały się przez dziesiątki i setki

lat, to bazylika jubileuszowa stanęła, jak na obecny wiek pary i elektryczności przystało, w 10 miesiącach! Więc nie wieki, lecz tylko miesiące złożyły się na jej ozdobę.

Nie potrzeba nadmieniać, jak żywo zajmował się budową i wykończeniem bazyliki jubileuszowej Ojciec św., który, jakkolwiek w jubileuszowym roku był cierpiący, to jednak żył objawami wiary całego świata chrześcijańskiego, jakie się okazywały w czasie jubileuszu. Pomimo pogłosek przeciwnych, jakie się rozeszły w ubiegłym miesiącu o złym rzekomo stanie zdrowia Ojca św., mogę zapewnić, że Ojciec święty dobrze się miewa, o czym świadczą liczne audyencye, jakich udziela pielgrzymom z wszystkich stron świata, zwłaszcza w ostatnim tygodniu.

Zabiera się on niebawem do odprawienia konsystorza, na którym zamianuje większą liczbę kardynałów, aby uzupełnić święte kolegium, mocno zdziesiątkowane kosą śmierci w ostatnich miesiącach.



X. Kardynał Cassetta odprawia Mszę św. przy poświęceniu bazyliki.

Korespondenci gazet silą się na domysły, kogo Ojciec święty do kolegium kardynalskiego powoła; wymieniają także biskupów polskich.

Nie będziemy tych domysłów powtarzali, pozostawiamy to Ojcu świętemu, a po nominacji będzie dosyć jeszcze czasu, by się cieszyć wyniesieniem do godności kardynalskiej biskupa naszej narodowości.

Al.

ANTONI ST. BASSARA.

Wojciech Bartos-Głowacki.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

(Ciąg dalszy.)

5. Spotkanie w drodze.

Jeszcze wschodzące słońce nieba nie zaróżowiło, kiedy podniósł się Bartos z pościeli. Odmówiwszy poranne pacierze, zbudził żonę i starsze dziewczęta, poczem jął się przygotowywać do podróży. Miał jechać na targ do Działoszyc, aby kupić nieco ziarna na zasiew.

Zarzucił więc koniowi siana, przysposobił wygodne siedzenie na wozie i wrócił do izby na śniadanie.

Było właśnie gotowe. Na stole stała potężna misa barszczu, a obok niej leżał bochen chleba. Przeżegnał Wojciech chleb nożem, ukrajał sporą kromkę i zaczął zjadać.

Skoro nasycił nieco głód, spojrzał po izbie, jak gdyby kogoś szukał, a gdy zobaczył Helenkę, zażartował:

— I któryż ci się, Heluniu, nocy dzisiejszej przyśnił: Lis czy Witek?

— Zawsze młodszy i we śnie prędzej na oczy przyjdzie, — odpowiedziała dziewczyna żartem. — Ale nocy dzisiejszej żaden z nich się mi nie śnił.

— Ejże! A może królewicz jaki? — pytał Bartos z uśmiechem.

— Nie królewicz, ale królowie sami, — odpowiedziała Helenka poważnie. — W śnie widziałam naszego króla Kazimierza, objeżdżającego wioski polskie i wzywającego lud na bój krwawy. Na wezwanie króla chłopków wstawał, kto żył, stary i młody i szedł, gdzie król go prowadził. Napotykanie po drodze przeszkody łamał chłop polski bez wysiłku. Uciekał Moskal przed chłopską potęgą, gdyż widział, iż zwalczyć jej nie zdoła. A chłopci szli, jak mrowie nieprzeliczone: ten z kosą, ten z siekierą, a ów z widłami, a na przedzie na koniku bułanym jechał on, król chłopków. Milki karabiny, milki armaty, a lud szedł samą swoją ilością i zgodą niezwyciężony. Nareszcie pycha zakradła się w szeregi. Jeden nad drugiego zaczął się wywyższać, a wszyscy byli niezadowoleni, że jeden przewodzi, zaś inni słuchać go muszą. Wśród zgodnej dotąd rzeszy wszczął się bunt; wszyscy chcieli być przywódcami, a nikt nie chciał pozostać zwykłym szeregowcem. Król nasz, Kazimierz, zaklinał i wzywał do zgody, lecz napróżno! Potężna rzesza rozdzieliła się na drobne oddziały. Skorzystał z tego nieprzyjaciel i wygniół wszystkich do nogi. Pierwszy padł król Kazimierz, którego nie miał kto bronić, a wkrótce zostały pokonane owe niezmierzone tłumy, będące w rozsypce.

— Piękny ale straszny sen, — ozwał się Bartos, gdy Helenka skończyła opowiadanie. — Daj Boże, aby nie zechciał sprawdzić się kiedyś na narodzie polskim.

— Baj baj! — trąciła się do rozmowy Jadwiga Bartosowa, — sen mara, Bóg wiara! Przecież naród wiejski nie taki głupi, aby się nie miał kupy trzymać!

— I ja ono tak myślę. A sen, zwykle jak sen. Nasłuchało się dziewczuszyko opowiadań pocziwego Jana, to sobie je i we śnie, chociaż całkiem zmienione, przypominało.

— Przypomniałeś mi, Wojtuś, Jana, — odezwiała się Jadwiga, — i aż mi mróz po kościach

przeszedł. Jak ty myślisz, czy poszedł Lis z do-nosem do Moskali?

— Różne mi myśli do głowy przychodzą, — odparł Bartos, — ale więcej mi się zdaje, że nie poszedł, bo chybaby Boga w sercu nie miał, gdyby zdradzał pocziwego człeka, jakim jest Jan.

— Oj nie ma on, nie ma Boga w sercu i dla tego się o ciebie, mój ty chłopino serdeczny, lękam okrutnie!

— I ja straciłem spokojność od dnia wczorajszego, ale niech się dzieje wola Boża; on nikomu zmarnieć nie pozwoli.

Rzekłszy to Wojciech, pożegnał się z żoną czulej niż zwykle, ucałował dziewczęta i wyszedł na podwórze zaprzęgać konika. Gdy już wszystko było gotowe, nakreślił biczyskiem krzyż święty przed koniem, siadł żwawo na wóz i ruszył za bramę.

Niebo było pogodne, wiatr od wschodu pociągał od pół, droga była wysmienita, więc też wózek toczył się żwawo, jak po stole. Konik, przyzwyczajony do głosu swego pana, nie potrzebował przynaglań, ale biegł szybko naprzód siebie.

Bartos dał folgę myślom. Przyszły mu do głowy najpierw te niedawne czasy, przed poznaniem starego Jana, kiedy to był tylko zwykłym zjadaczem chleba, nie mającym najmniejszego pojęcia o własnej ojczyźnie.

Obecnie pod wpływem nauk starego Jana wiedział, że człowiek poza najbliższą rodziną ma jeszcze rodzinę dalszą, którą tworzą ludzie tej samej narodowości, co i on, i że obrona tych współbraci, a więc obrona wspólnej ojczyzny jest świętym obowiązkiem każdego. Kto tej ojczyzny nie broni, kto jej nie przychodzi z pomocą, kiedy jest w ucisku, czyni tak samo, jak ten, któryby własne dzieci na głód i nędzę skazywał.

Przypominał sobie Wojciech te cudowne opowieści starego Jana o chwale i mocy narodu polskiego, a na wspomnienie to żał go brał serdeczny, że z wszystkiego tego, co było nasze i wielkie, dziś tylko strzępy zostały.

Żałował, a wiedział o tem z opowiadań Jana, że jeszcze miliony jego braci z pod słomianej strzechy poza własną zagrodą świata Bożego nie spostrzegają. Wszystko to przychodziło mu na myśl i żał go brał okrutny, iż tak jest i że temu zaradzić nie ma siły.

Zły był i na siebie samego.

Stary Jan zbudził duszę jego z uśpienia wiekowego, serce napełnił miłością ojczyzny, a on nie ma sposobności uczuć swoich stwierdzić czynem. Gdyby nie żona, nie córki, to leciałby w kraj szeroki, w kraj polski, wskrzeszać serca rodaków i zapalać w nich ogień miłości ojczyzny. Ale, niestety, obowiązki rodzinne nie pozwalały mu na to.

Rozmyślenia jego przerwał znajomy mu głos:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! A dokądże to Pan Bóg prowadzi?

Pytającym był serdeczny przyjaciel Bartosa, Stach Świstacki, obok którego domu właśnie Wojciech przejeżdżał.

— Na wieki wieków amen, — odparł zapytany. — A dobrze, żeś mi w samą porę drogę zaszedł, bom właśnie, wyjeżdżając, postanawiał do ciebie wstąpić. Ale w samotności tyle się myśli po łbie włóczy, żem o mało o tem nie przypomniał.

— Otóż uważaj, przyjacielu, — ciągnął po chwili namysłu Bartos dalej. — Wybrałem ci się ja do Działoszyc po kupno ziarna na wiosenny siew, ale jadę jakiś niespokojny. Wczorajsze opo-

wiadanie Jana dało mi dużo do myślenia. Widzę ją, że idą wielkie rzeczy. Ale to tylko radością a nie troską mnie napawa. Wiem ci ja, że gdy przyjdzie ta chwila osobliwa, nic bezemnie nie rozpoczniecie. Z tej strony jestem zupełnie spokojny.

Odpuść chwilę, jakby się chciał namyślić, co rzec dalej, a potem tak mówil:

— Ale inna rzecz mi spokoju nie daje!

Tu opowiedział swoją wczorajszą rozmowę z Lisem i jego pogroźki i tak kończył:

— Gdyby o mnie samego chodziło, nikogobym tem nie trudził. Ale tu idzie o spokój naszego nauczyciela, któremu tyle zawdzięczamy, i dla niego to chcę, przyjacielu, twojej pomocy. Ja jadę; wprowadzie na wieczór jeszcze wróce, lecz ile rzeczy w dniu jednym stać się może? Bacz więc na wszystko uważnie, a w razie potrzeby skrzyknij naszych i nie daj mu krzywdy zrobić: Wprawdzie Jan poszedł nocą do Proszowic, lecz któż zaręczyć może, czy jeszcze dziś do nas nie wróci. Licho nie śpi!... A nużby tak wtedy Lis naprowadził Moskali?... Pozostałby starowina bez żadnej obrony.

Tak pocziwy wieśniak troskał się więcej o los swego nauczyciela, aniżeli o swój własny.

Uspokoil go jednak Świstacki, mówiąc:

— Nie bój się, bracie, w razie czego popamiętaliby nas Moskale; odechciałoby się im drugi raz zaglądać do Rzędowic!

— Wiem ci ja, wiem, — mówił Bartos, ruszając z miejsca, — i dla tego uwiadomiwszy ciebie, odjeżdżam spokojniejszy. Ale w razie czego róbcie wszystko z rozważą, aby się bez potrzeby nie narażać.

— Bądź spokojny, — zawołał za odjeżdżającym Stach i powrócił do domu.

Wojciech jechał dalej spokojniejszy. Najważniejszą troskę złożył na barki przyjaciela choć na czas krótki. Dalszą przyszłością zbytnio się nie trapił, gdyż ufał w pomoc Boską i wierzył, że Bóg tego, kto Mu ufa nie opuści.

Gdy wyjechał z Rzędowic był już zupełnie spokojny. Znalazłszy się w czystych polach, poczał półgłosem śpiwać godzinki dó Najświętszej Panny, które codziennie od małego dziecka zwykł był odśpiewywać, a co zresztą w całej Polsce było powszechnym zwyczajem.

Tak dojechał do Kowar, wsi sąsiadującej z Rzędowicami. Tu spotykał znajomych, witał ich pozdrowieniem chrześcijańskim i dobrem słowem, witany od nich nawzajem. Bartos znany był i lubiany w całej okolicy, jako człowiek rozumny i stateczny, a przytem zupełnie nie lękliwy. Miał on u wszystkich mir wielki i zdarzało się, że największe swary a nawet bitki na jedno jego zawołanie natychmiast ustawały. Szanowali go też wszyscy a po części i bali, a on za to wzięcie u ludzi chętnie służył wszystkim radą, zaś niejednego z potrzebujących i groszem rad wspomógł.

Jechał więc przez Kowary, niczem dziedzie jaki, tylko z tą różnicą, że on ukłony a pozdrowienia odbierał jako równy od równych.

Skoro wyjechał z pomiędzy kowarskich zagród, poczał kończyć rozpoczęte poprzednio godzinki.

Drogi ubywało szybko, więc ani się spostrzegł, kiedy znalazł się na gruntach imbramowickich.

Może jeszcze jakie dziesięć stajañ dzieliło go od pierwszych domów w Imbramowicach, gdy nagle koń jego, idący równo i spokojnie odskoczył w bok, przestraszywszy się widocznie czegoś.

Chwycił Bartos szybko za lejce, powstrzymał jednym szarpnięciem konia i rzucił okiem po dro-

dze. Tu przedstawił się mu niespodziewany widok. Oto na skraju drogi leżała na w znak jakaś ciemna postać, w poszarpanem ubraniu, cała skrwawiona. Po stroju i brodzie poznał w leżącym żyda, ale coby on był za jeden, nie mógł wyrozumieć.

Zresztą było mu to obojętne. Bez chwili namysłu zeszedł z wózka i poczał śledzić, czy jeszcze dusza z nieszczęśliwego nie uleciała. Ku swej wielkiej radości przekonał się, że w tej masie opuszczonej jeszcze życie tliło, choć lada moment mogło zagasnąć na wieki.

Nie było czasu do stracenia, ale i o skuteczny ratunek nie było łatwo. Rozglądął się Bartos w okolo, ale nigdzie nie dojrzał ani wody, ani kruszyny śniegu, a tu skropienie omdlałej twarzy dawało mu się konieczne. W strapieniu tem wpadł na dobry pomysł: kozikiem poczał odłupywać ziemię zmarzłą na pół z lodem i przykładać ją na twarz leżącego. Jakoż skutek okazał się nadspodziewany: żyd odetchnął głęboko raz i drugi, poczem otworzył oczy.

— Chwała Ci, Panie Jezu! — wyszeptał Wojciech uszczęśliwiony, że trud jego nie pozostał bez rezultatu.

Żyd na dźwięk tego głosu aż chciał powstać z ziemi, ale siły odmówiły mu posłuszeństwa. Zwrócił tylko głowę w stronę Wojciecha i wyszeptał:

— Wojciechu, przebacście! — i zemdlął powtórnie.

Teraz dopiero poznał Bartos, kogo miał przed sobą. Nie rozumiał wprawdzie, dla czego Szust prosi go o przebaczenie, ale było mu to zresztą obojętne. Widział on tylko nieszczęśliwego bliźniego przed sobą, któremu trzeba dać spieszny ratunek, tem bardziej, że ranny, choćby już nie od ran, ale od zimna samego może na drodze skończyć; nie innego w tej chwili go nie obchodziło.

Widział jednak, że sam sobie w czystym polu nie poradzi. Postanowił zatem złożyć Szusta w najbliższej chacie w Imbramowicach i tam przy pomocy innych zająć się jego ratunkiem.

Postanowić było łatwo, lecz wykonać trudniej. Bartos był wprawdzie rosły i silny, ale i żyd wzrostem mu dorównywał, a tuszą znacznie przewyższał; przytem był nieprzytomny i bezwładny. Wojciech nie zrażał się jednak trudnościami. Ujął żyda wpół i poczał go dźwigać na wóz.

Daremnie!

Rozejrzał się strapiiony chłop w okolo, czy nie zjawi się jaki przechodzień, któryby mu mógł być pomocny, lecz, jak okiem sięgnął, nie zobaczył nikogo.

Nie było czasu do stracenia. Ujął powtórnie żyda pod ramiona, natężył się i o mało nie dopiął celu. Ale, gdy już miał przerzucić żyda na wóz, poślizgnęła mu się noga, wskutek czego zwałił się z swoim ciężarem na ziemię.

Nie namyślał się jednak długo. Pomacał tylko srodze stłuczoną rękę w upadku, czy się aby gdzie nie złamała, a gdy się przekonał, że jest cała, zabrał się po raz trzeci do żyda i to z pomyślnym skutkiem.

Ułożywszy go wygodnie na wozie, zdjął z siebie kożuch i otulił nim chorego, niby własne dziecko, poczem ruszył ostrożnie ku Imbramowicom. Tu wstąpił do pierwszej chaty przy drodze, gdzie bez żadnych zapytań, znając go, udzielono mu gościnności.

Poruczywszy konia opiece domowników, zabrał się Bartos natychmiast do ratowania chorego. Obmył mu twarz, powalaną krwią, skrapiał często

zimną wodą, a pracował dopóty, póki nie spostrzegł, że bezpośrednie niebezpieczeństwo już minęło.

Żyd wprawdzie przytomności nie odzyskał, lecz równy oddech i regularne bicie serca świadczyły, iż zbytnio o życie chorego troszczyć się nie ma potrzeby.

Wtedy dopiero pomyślał o dalszych zarządzeniach. Najpierw więc pchnął posłańca do Rzędowic z zawiadomieniem do żony Szusta o nieszczęściu i do swojej Jadwisi, aby się nie trapiła, gdyby nie wrócił wnet do domu. Postanowił bowiem tak długo z chorym pozostać, póki ten nie odzyska przytomności i nie będzie mógł być przewieziony do własnej siedziby. Gdy to załatwił, przyjął skromny posiłek, jaki mu gościnni gospodarstwo ofiarowali.

Mijały godziny, przybyła nawet Sura z Rzędowic, napelniając dom cały lamentem, a chory przytomności nie odzyskiwał. Leżał bezwładny, jak kłoda drzewa, nieczuły na wołania i jęki żydówki, ani na zapytania, stawiane mu przez chłopów. Niespokojność jakaś poczęła wstępować w Bartosa. zamierzał więc pojechać po lekarza do miasteczka.

Już miał w tym celu wychodzić z izby, gdy wtem najniespodziewaniej chory podniósł się na



»Pytającym był Stach Swistacki, obok którego domu właśnie Wojciech przejeżdżał.« (Str. 156.)

Do powieści: „Wojciech Bartos-Głowacki“.

pościeli i począł wyciągać ręce w stronę Wojciecha. Rzucił się Bartos ku niemu w obawie, aby osłabiony żyd nie upadł i nie uderzył głową o krawędź łóżka; chciał go podtrzymać. Ale Szust uchwycił szybko w obydwie ręce spracowaną dłoń chłopca i przyłgął do niej spieczonemi ustami.

Patrzeli na to wszyscy ze zdziwieniem; sam Bartos nie wiedział, co ma począć. Chciał usunąć rękę, lecz żyd trzymał ją zbyt silnie, aby mógł to być bez szkody dla chorego uczynić. Nie bronił więc, a z żydowskich oczu płynęły na nią łzy gorące, łzy wdzięczności...

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nowy poseł do parlamentu niemieckiego z okręgu obornicko-szamotulsko-międzychodzko-skwierzyńskiego,

X. Józef Kłos,

redaktor „Przewodnika Katolickiego“.

dziękuje swoim wyborcom za chlubne spełnienie powinności obywatelskiej.

Nasze obrazki.

+ Ojciec Stefan Bratkowski.

Nie z naszej to dyecezyi kapłan, ale w naszej dyecezyi bardzo dobrze znany. Nie zliczyłbyś, ile razy udzielał u nas rekolekcji czy to kapłanom czy świeckim, ile razy słowo Boże głosił. Dla tego podobiznę jego podajemy i kilka szczegółów z jego życia. Urodzony dnia 14 września 1853 w Zawalickach na Podolu rosyjskiem, po ukończeniu studiów średnich wstąpił w r. 1874 do nowicyatu OO. Jezuitów w Starej Wsi. Pracował przez długi czas jako kapłan we Lwowie; następnie był superyorem Zgromadzenia stanisławowskiego, skąd posłany został do Krakowa przed laty dwudziestu, gdzie rozpoczął szeroką działalność społeczno-moralną. Jego zasługą jest zorganizowanie Sodalicyi Maryańskich. Sprawował obowiązki moderatora Sodalicyi panów, pań, młodzieży szkół średnich i Sodalicyi akademickiej. Szczególną opieką otaczał młodzież akademicką, która miała w nim kierownika i przyjaciela.

Pogrzeb odbył się w Krakowie z udziałem dwóch Biskupów i ogromnych rzesz wiernych, przeważała młodzież, która go też na ramionach swoich do grobu zanośli. — Niech odpoczywa w Bogu!



S. p. X. Bratkowski, kapłan Towarzystwa Jezusowego.

Dodatek